POZNAŃ, 3 X 1948 r. ROK III

ŚWIAT

ILUSTROWANY DODATEK TYGODNIOWY
Nr 40 *Głosu Wielkopolskiego*

EDMUND SZAŁEK

PRZYBYTEK LAMY

Zgodnie z tradycją stuleci, przed kilku tygodniami pielgrzymi podążyli przez rozległe równiny i przełęcze górskie, do świętego krytego złotym dachem przybytku Lamy (Lamaserii) w Kumbum, leżącym w pobliżu wielkiego, słonego jeziora Koło Nor w najbardziej oddalonym zakątku półn-zachodnich Chin. Niektórzy przybyli nawet z Pekinu, ze Singiangu, a wielu z podniebnych szczytów Tybetu. Wszystkich ściągnął jeden wspólny cel — złożenie hołdu dziesięcioletniemu Panchan Lama, żyjącemu bóstwu, które decyduje o duchowym i religijnym życiu milionów Azjatów, jak również w celu odbycia modlitw i studiów pod kierunkiem kapłanów, należących do najbliższego otoczenia Lamy.

Mieszanina buddyjskiego mistycyzmu i tybetańskiej magii, Lamaizm kwitnął i rozwijał się w Tybecie od VII wieku naszej ery. Pod wielkim Kublai Khanem, Lamowie zyskiwali coraz więcej siły i wpływów na ówczesne życie duchowe, a oba wierzenia rozwinęły się do szerokich rozmiarów. Przez następujące z kolei wieki Dalai Lama z Lhasy w Tybecie, stał się religijnym władcą, Pancham Lama zaś był przez wieki świętym przywódcą lamaizmu. Ten podział władzy doprowadził między Lamami do konfliktu w rezultacie którego w roku 1944 Dalai Lama wraz ze swymi poplecznikami, wypędził Panchan Lamę z Tybetu. Wygnańcy nie rezygnują ze swoich praw do religijnego autorytetu, ustanowili swą nową siedzibę w starożytnym przybytku Kumbum w Chinach, legendarnym miejscu urodzenia lamaisty — reformatora, Tsong-Kha-Pa. Panchan zmarł w roku 1937 — jego następcą został 10-letni chłopiec, który dzierży władzę do dziś.

Pomimo rzadkiego architektonicznego piękna, jakie Kumbum nowa stolica lamaizmu sprawia na turyście, życie w niej jest wyrazem klasztornej surowości. Regent Lamy — dziecka, 73-letni Lo Chang-Chien-Chan, sprawuje władzę nad 3000 studentów — mnichów i 50 „żyjących" Buddha, powołanych do instruowania studentów. Studia mnisi odbywają w Wielkiej Sali Zgromadzeń, gdzie większość czasu spędzają na długich pobożnych ćwiczeniach i modłach. Na ogół nie wykonują żadnej pracy fizycznej, ale niektóre ćwiczenia religijne i modlitwy wymagają wyczerpujących i nużących fizycznych umartwień. Surowa ta reguła trwa dla kandydatów 10 lat zanim zostają kapłanami. Jednakże z chwilą gdy to ponure 10-lecie mija, kapłani są obficie wynagradzani za swoje poświęcenie. W swoich wsiach i miejscach zamieszkania udostępnione są im prawa do korzystania z wszystkich przywilejów życia.

Otoczony emblematami swojej boskości, na złocistym tronie, siedzi wcielenie Panchan-Lama (10-letni chłopiec).

Najbardziej wyczerpującą fizycznie pracą mnichów jest odbywanie modłów w pozycji leżącej (leżenie krzyżem). W celu uzyskania choćby jednej następnej instrukcji od przełożonego — dziekana lamaserii, każdy mnich zmuszony jest poddać się tysiącom najróżniejszych pozycyj przewidzianych przez rytuał.

Lama — chłopiec

Panchan Lamowie są wybierani drogą skomplikowanych rytuałów, mających na celu wykazanie ich reinkarnacji poprzednich Lamów.

Aż do momentu jego wyboru, w roku 1941, obecny chłopiec Pauchan był wiejskim dzieckiem, nazwiskiem Tuteng Chueh-Chi, którego biedni rodzice mieszkali w Yuehsang przy drodze wiodącej do Tybetu. Decyzją kapłanów wyszukania kandydata na następcę Lamy z tego właśnie terenu, został wraz z innymi dziećmi przewieziony do Kumbum. O wyborze Chueh-Chi przed resztą rywali, zadecydował fakt, że w pewnym momencie zaczął objawiać zainteresowanie różańcem, nakryciem głowy i innymi drobiazgami będącymi własnością poprzedniego zmarłego Lamy. Mnisi i kapłani wydali wtedy orzeczenie, że wybrany chłopiec był najprawdziwszą 9 reinkarnacją pierwszego Lamy i Żyjącego Buddhy

Chueh Chi prowadzi obecnie egzaltowane jakkolwiek pełne wyrzeczeń życie. Przez 8 godzin dziennie oddaje się studiom; od jakiegokolwiek towarzystwa rówieśników jest całkowicie izolowany. Wieczorami bawi się, najczęściej ukradkiem gumową piłką i lalką. Nigdy się nie kąpie i nie myje i jak reszta mieszkańców Kumbum wydaje zapach masła yaka

Modły

Życie większości lamaistów w Kumbum stanowi niekończący się łańcuch modlitw i umartwień pośród surowego ukrytego przed światem otoczenia. 80 z nich stanowi osobisty sztab Lamy, pod przewodnictwem regenta Lo-Chain-Chien-Chang. Studenci — mnisi studiują i spędzają czas na modlitwach, najczęściej w pozie leżącej na piersiach posługując się przy tym obrotowymi meblami z wypisanymi na nich moditwami. Modły w pozie leżącej zyskują na znaczeniu, gdy są składane przed olbrzymim 10 metrowym posągiem Buddhy, który mieści się poza okratowaniem precyzyjnej roboty w Wielkiej Sali Złotego Dachu. Salá ta została zbudowana w celu pomieszczenia i zachowania „Świętego drzewa lamaserii", które jak utrzymują wierni wystrzeliło w miejscu urodzenia w XIV wieku wielkiego reformatora Tsong-Kha-Pa.

IGNACY EICHSTAEDT

TAJEMNICA RADARU

Odkąd syn mój był na jakimś odczycie o radarze, całkiem zadurzył się w tym „cudownym dziecku fizyki XX wieku". „Dziecko" to liczy 8 czy 9 lat — właściwie jednak nieco więcej, bo radar nie jest wynalazkiem dopiero wojennym. Podstawowa zasada radaru była znana uczonym już od wielu lat przed wrześniem 1939 r. Ale Anglia była jedynym krajem, który w chwili wybuchu wojny posiadał gotowe aparaty radarowe i rozbudowaną sieć stacji radarowych — i to uratowało ją w najbardziej krytycznym momencie, w „bitwie powietrznej o Anglię", kiedy setki i tysiące bombowców niemieckich rzucały się na nią — przeważnie nocą — aby spuszczać na ziemię swoje straszne „jajka".

„Wyobrażam sobie — mówi mój Tadek — że w taką noc obsługuję aparaturę stacji radarowej — o, tu..." i pokazuje mi „fotkę" takiej stacji. Widzę: jakieś reflektory, jakieś dziwaczne anteny — fachowo mówiąc: anteny ramowe, kierunkowe, półfalowo-dwubiegunowe, które można obracać i nastawiać na każdy pożądany kierunek. „Siedzę wewnątrz kabiny radarowej, tu jest nadajnik, a tu odbiornik..."

Ale właściwie — co to jest radar? Na czym polega radar? Na zjawisku tak prostym jak — echo. Znasz echo: krzyknięsz na wycieczce głośno i krótko „hop" i echo też ci odpowie „hop". Fale powietrza biegną od ciebie w przestrzeń, odbijają się od skały, od drzew lub innej przeszkody; część odbitych fal wraca i wpada do twojego ucha. Usta są stacją nadawczą, a ucho działa jako stacja odbiorcza. Jeżeli słyszysz echo akurat po sekundzie, to fale przebiegły około 340 metrów (daj Boże naszym szybkobiegaczom tak zwinne nogi), zatem 170 metrów od ciebie do przeszkody i 170 metrów z powrotem — wtenczas wiesz: przeszkoda odbijająca znajduje się w odległości 170 metrów.

Radar polega właśnie na takim samym echu, ale elektrycznym. Radar wysyła fale elektryczne — takie same, jakie znamy w radiofonii, tylko dużo krótsze. Radiostacja np. poznańska nadaje na fali długości 345,0 metrów, gdańska nawet 1.339,3 metrów. Natomiast w radarze liczy się długość fali na centymetry: kilkadziesiąt, kilkanaście, nawet kilka centymetrów, nowocześnie nawet tylko centymetr i jeszcze mniej.

Aparat radarowy składa się również z nadajnika i odbiornika. Nadajnik wysyła w przestrzeń fale elektryczne (ściśle elektromagnetyczne). Jeżeli te natrafiają na metalową przeszkodę, np. na samolot, to odbijają się, wracają i wpadają do „ucha", tj. do odbiornika. To jest więc „echo elektryczne". Ale fale elektryczne bardzo się śpieszą: w sekundzie przebywają one w powietrzu prawie dokładnie 300.000 kilometrów! Jeżeli więc odbita fala elektryczna, to „echo elektryczne", wraca po jednej tysiącznej części sekundy, to już przebyła drogę 300 kilometrów i wtenczas wiemy: samolot jest w tej chwili w odległości 150 kilometrów. Tysiączna część sekundy! Niesamowicie krótki moment! A jednak w radarze widać go „jak na dłoni". To objaśni teraz mój Tadek:

„Jestem na stacji radarowej. Włączam nadajnik — od tej chwili wysyła on co setną część sekundy dwa silne, ale bardzo krótkie, bo tylko jedną tysięczną albo jeszcze krótszą część sekundy trwające impulsy, tzn. fale elektryczne: jeden impuls w przestrzeń nadając mu przez odpowiednie nastawienie anteny ściśle określony kierunek, a przy pomocy reflektorów kształt zwartej wiązki, aby fale nie rozpraszały się — zaś drugi impuls bezpośrednio do odbiornika. Ten odbiornik — to cały cud techniki, a jego duszą i sercem jest lampa katodowa czyli elektronowa — znamy ją z aparatów radiowych, lecz tutaj jest ona bardziej skomplikowana. W tej lampie elektrony z szaloną szybkością pędzą od katody do przeciwległej ściany i tam na ekranie pokrytym substancją fluoryzującą wywołują jasny świetlny punkt nieruchomy w jednym miejscu. Ale teraz do odbiornika wpada impuls biegnący wprost z nadajnika — punkt świetlny jak szalony biega od jednego brzegu ekranu do drugiego i rysuje prostą linię ciągłą. Pod nią widzimy skale: 0, 10, 20,... 50,... 80.., 100 itd Teraz nagle — jasna linia, dotychczas prosta, wygięła się w bok, przy liczbie 80, wygięcie ma kształt odwróconej rzymskiej piątki, więc — to impuls wysłany w przestrzeń odbił się od samolotu, wrócił do odbiornika, tu zaś poprzez zawiłe aparaty nadał pewnej płytce umieszczonej z boku strumienia elektronów potencjał ujemny i ten wytrąca bieg ich na moment (na jedną tysięczną część sekundy) na przeciwny bok. Samolot znajduje się więc w odległości 20 kilometrów. A teraz, proszę — wygięcie — przesuwa się na 70,60 itd. — samolot zbliża się. Jakbym widział jego lot. W każdej chwili znam jego odległość, kierunek, momentalnie mogę znaleźć jego wysokość, jego szybkość. Toć radar nazywał się pierwotnie w Anglii „radiolocation", tzn. „umiejscowienie przedmiotów za pomocą radia". Później Amerykanie ukuli wyraz „radar", jest to skrót z dużych liter następujących wyrazów angielskich: „Radio-Angle-Direction-And-Ranging": radio-wykrywanie i określanie odległości.

(Ciąg dalszy na str. 4)

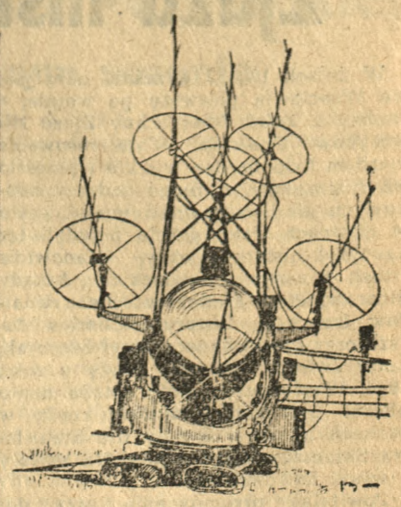

Aparatura do kierowania reflektorem, tzw. „Elsie". Zespoły anten są zmontowane na właściwym reflektorze.

TAD. H. NOWAK

W lesie byłych Foersterów

Przez okno las doprasza się spojrzenia. Stary, jary buk na czele leśnego pochodu przyjaźnie wyciąga konary. W pokoju leśniczego ściany ozdobione są „szablami" dzików i rogami jeleni. Zanim przestąpię leśne progi, zanim najcichszym, miękkim krokiem na mchu wszyję się w gęstwinę drzew, spojrzeć mi trzeba jeszcze na mapę, pozostałość po Niemcu, Herrn Foerster Rudi Marek. Mapa jest arcydokładna. Wykreślono na niej z niezwykłą precyzją tę olbrzymią Nadnotecką Puszczę ze wszystkimi jej zagajnikami, młodnikami, drogami, jeziorami i uroczyskami. Wykreślono z taką właściwą **im** pedanterią, która również pozwala pedantycznie organizować masową śmierć.

Patrzę i dziwie się. Oto tu wznosi się góra, „Eulenberg". Lecz przy niemieckiej nazwie wyraźnie czytam drugą: Sowia Góra. Tu oto z boku rozprzestrzenia się duże jezioro; nazywa się „Polnisches Lubiatow See". A więc **polskie Jezioro Lubiatowskie.** Wyraźne stwierdzenie właściwej nazwy na tej starej niemieckiej mapie wydanej w latach 1930 i uzupełnionej w 1933 i 1934 r Herr Rudi Marek otrzymał więc w swojej zacisznej leśniczówce przesyłkę pocztową, zawierająca złożone mapy lasów rozciągających się gdzieś między Drezdenkiem a Gorzowem. Rudi ani przez chwilę nie zastanawiał się nad tym że w Berlinie określono „Eulenberg" również i Sowią Górą, a jezioro lubiatowskie nazwane jest „Polnisches". Rudi był bezmyślny. Dostał mapę, rozwiesił ją na ścianie, przewiesił strzelbę przez ramię i poszedł w las. A w lesie stoi na wzgórzu wieża triangulacyjna. Wdrapał się na nia i ze szczytu spojrzał w dal, za Noteć. Więc tam jest Polska? Niech jest. Ale hier ist Deutschland z Sowią Górą i polskim Jeziorem Lubiatowskim. Bezmyślny leśniczy zszedł z wysoczyzny i zaszył się w gęstwinę boru. Trzeba postrzelać. Piękny młodnik niebieskawo-zielony kryje w sobie niejedną tajemnicę. Rudi dałby głowę za to, że tam na pewno stadko zażywa przedwieczornej drzemki. Tłuściutkie łanie zwolna pewno mrużą oczy. Zbliża się wieczór i pora pożywienia. Trzeba będzie rzucić łoża mchem usłane A może chrapie w młodniku potężny dzik? Białe szabliska groźnie sterczą spod wielkiego ryja. Foerster Marek odwiesił z ramienia myśliwską strzelbę gotową do strzału. Na razie strzela się tylko do leśnej zwierzyny, której tak wiele znalazło w tych lasach schronienie.

Myślę o tym w pokoju leśniczego, patrząc na rozłożoną przede mną mapę. Gdzieś od Międzychodu spoza Noteci ciągną się te lasy. Widzę ich ogrom. Tu rozdziera je pasemko Warty, tam znowu Odra rozcina uroczą puszczę, ale ona prze dalej, aż po Berlin. I dlatego Rudi Marek butnie łazi po leśnych uroczyskach, dlatego z wieżycy szyderczo patrzy za Noteć.

Prawie równocześnie gasimy papierosa. Czas już powitać las, który przez okno tak doprasza się spojrzenia. Czas podać staremu bukowi ręce, skoro tak przyjaźnie wyciąga konary.

Wysoko nad głowami przeleciało spore stado dzikich kaczek. Śledzimy ich przyciężkawy lot. Zniżają go, opadają za smukłymi sosnami na pobliskie jezioro. Lecz idźmy.

Jest tak cicho, że w uszach dudni. Cóż, 6 km do toru kolejowego, daleko do wsi. Żadne odgłosy ludzkiego życia. Ot, dzięcioł-dentysta wystukuje z kory co najszkodliwsze robactwo. Czasem dudek potrząśnie gałęzią sosny, lub konar zaszumi rozkołysany wiatrem. Kroczymy ciszej niż to umiemy, jakbyśmy wstydzić mieli się zbędnych ruchów. Wysokopienny las nagle maleje. Niby polana, a przecież to nie to. Daleko sięgniesz okiem zanim dojrzysz zieleń lasu. Stoimy wśród obumarłych kikutów spalonych drzew.

Więc i was nie oszczędziła zbrodnicza ręka ustępującego wroga? Więc i wy skręcałyście się w żarze morderczych płomieni? Rudi Marek powiedziałby może: „Zu wenig" Tylem napatrzył się na ruiny i zgliszcza. Widziałem zmiecione miasta i spopielone osady Szedłem do ciebie lesie zielony i oto zgliszcza, zgliszcze Lecz krok za krokiem zbliżam się znowu do dumnych sosen, niebiesko-zielonych młodników. Na ich widok promienieje znowu twarz leśniczego, Jesteś lesie, żywiczny lesie, pachnący dzisiaj wrześniem pokoju. Po najmiększym mchu stąpamy tak cicho, jak cichy jest lot jaskółki do pobliskiego jeziora. Spoglądam w oczy leśniczego. „Jak się nazywa to jezioro"? — pytam. „Lubiatowskie" — odszemrały przygęste sitowia. Acha, więc „Polnisches Lubiatow See" tylko na niemieckiej mapie wydanej dla tych „niemieckich" lasów. I wtedy przypomina mi się wiersz Wojciecha Bąka

że przecież
„...ta ziemia na której stoję
to moje, to moje"

Nazajutrz obudziły mnie soczyste przekleństwa. „A pomioty nieznośne, a rabusie wściekłe, sprawię ja wam, sprawię". — Pytam rozsierdzionego leśniczego co to się stało. Dziki niecnoty zryły mu kartoflisko. Tuż pod bokiem leśniczówki. No to będziemy strzelać! Hejże na dzika!

Ale nie tak jak Rudii Marek. Ten strzelał do dzika, łani, zająca i CZŁOWIEKA. Już nie wyjdzie Herr Foerster na wieżę i nie popatrzy na zanoteckie lasy. Zbyt wielka brała go wtedy chętka do strzelania.

— — — — — — — —

A codziennie rano las doprasza się przyjaznego spojrzenia. Jakże mu odmówić.

Zjazd historyków we Wrocławiu

W dniach 19—22 września odbył się we Wrocławiu pierwszy po wojnie, a siódmy z kolei Powszechny Zjazd Historyków Polskich. Zainteresowanie zjazdem było bardzo wielkie i przeszło 600 historyków, zarówno badaczy naukowych jak i nauczycieli uczestniczyło w obradach. Jako goście przybyli też na zjazd historycy obcy, mianowicie trzech uczonych sowieckich Arkady Sidorow, Piotr Tretiakow i Iwan Udalcow, francuski historyk Charles Morazé oraz czeski badacz Józef Macurek, autor świeżo wydanej pracy o roku 1848. W pierwszym dniu zjazdu nadto obecni byli przedstawiciele rządu w osobach ministra oświaty dra Stanisława Skrzeszewskiego i ministra kultury i sztuki Dybowskiego.

Powitalne przemówienia przy doszczętnie wypełnionej sali wygłosili prof. Jan Dąbrowski (z Krakowa) jako przewodniczący zjazdu, prof. Jan Rutkowski (z Poznania) ako przedstawiciel Polskiej Akademii Umiejętności, rektor uniwersytetu wrocławskiego Kulczyński, goście z Czechosłowacji i Bułgarii oraz minister Skrzeszewski, który w dłuższym przemówieniu dał wskazania dla przyszłej nauki historycznej w Polsce, winnej w szerszym niż dotąd zakresie uwzględniać marksistowską metodę badań. Zebranie to zakończył odczyt prof. Stefana Kieniewicza (z Warszawy), obrazujący w syntetycznym skrócie wkład Polski w rewolucję 1848 roku. W ciągu zjazdu odbyły się jeszcze dwa dalsze zebrania plenarne, jedno z programowym odczytem prof. Stanisława Arnolda (z Warszawy) o nowych zadaniach polskiej nauki historycznej, drugie zamykające zjazd z odczytem prof. Zygmunta Wojciechowskiego (z Poznania) o polityce polsko-niemieckiej za Bolesława Chrobrego.

Właściwy ciężar spoczął atoli na obradach w sekcjach. Tych sekcyj było pięć. Pierwsza, pod przewodnictwem prof. Romana Grodeckiego (z Krakowa) poświęcona była dziejom Śląska i Wielkiego Pomorza. Druga pod przewodnictwem prof. Zygmunta Wojciechowskiego (z Poznania) obradowała nad dziejami Słowiańszczyzny. Trzecia, której przewodził prof. Adam Skałkowski (z Poznania) zajmowała się rewolucją roku 1848. Czwarta pod przewodnictwem prof. J. Rutkowskiego (z Poznania) poświęcona była genezie współczesnego państwa i społeczeństwa polskiego. Piąta pod przewodnictwem prof. Stanisława Arnolda (z Warszawy) obradowała nad metodologią nauk historycznych.

Na wszystkich sekcjach były momenty słabszego zainteresowania i gorętsze. Do bardziej emocjonujących na sekcji dziejów Słowiańszczyzny należała kwestia genezy państwowości polskiej, poruszona przez historyków poznańskich, zwłaszcza w wspaniałym referacie prof. Kazimierza Tymienieckiego, uważanym powszechnie za najlepszy na całym zjeździe wrocławskim. Niemniej żywe echo wywołała sprawa pradziejów ziem polskich, referowana przez prof. Józefa Kostrzewskiego (z Poznania) i prof. Ludwika Piotrowicza (z Krakowa). Ponieważ obaj uczeni dochodzili do odmiennych wniosków, dyskusja miała nader żywy charakter. Na sekcji Wiosny Ludów zainteresowanie słuchaczy skupiło się przede wszystkim na referatach pierwszego posiedzenia, które wygłosili prof. Emil Kipa (z Krakowa), prof. Wiesława Knapowska (z Poznania) i prof. Stefan Kieniewicz (z Warszawy). Udział uczonych rosyjskich którzy przemawiali w języku rosyjskim, gościa francuskiego, który znów przemawiał w języku francuskim. wreszcie sympatyczny głos w dyskusji historyka czeskiego Macurka, który mówił w języku polskim, nadały obradom tej sekcji jakiś powiew międzynarodowy. Wreszcie jako niezwykle ciekawe zanotować należy posiedzenie sekcji czwarte z referatami prof. J. Rutkowskiego i Witolda Kuli o zagadnieniu podziału dochodu społecznego w Polsce przedrozbiorowej, oraz z referatem prof. Stefana Inglota (z Krakowa) o sprawie chłopskiej w Polsce w wieku XIX i XX.

Zjazd wrocławski jako pierwszy powojenny spełnił na ogół swoje zadanie. Historycy polscy mieli możność publicznego przedstawienia wyników swoich zadań, a jeszcze bardziej swoich dezyderatów, ujętych w rezolucjach. Okazało się, że nauka polska zwłaszcza na najbardziej aktualnym odcinku badania przeszłości ziem odzyskanych zrobiła ogromne postępy, wydatnie wspomagając stanowisko władz polskich w odniesieniu do tego kardynalnego zagadnienia chwili bieżącej. Natomiast spotkała się z zarzutami, że za mało uwzględnia metodę badań marksistowską. Zważywszy, że i w tym kierunku rzucono nowe myśli, śmiało rzec można, iż obrady wrocławskie historyków polskich stały się jakby momentem przełomowym w dziejach nauki historycznej w Polsce.

Dr ZDZISŁAW GROT

STANISŁAW WITOWSKI

Słonecznik i gieorginia

Wrzesień. Na wsi w ogródku zakwitła gieorginia. Ślicznie się odbijała — purpurowa — na tle bielonej ściany chałupy, naprzeciw okna, w które zaglądał błękit niebieski.

U stóp jej rosły inne kwiaty: pomarańczowe nagietki, czerwono-żółte nasturcje, pąsowe i złociste aksamitki... Gieorginia poczuła się królową wśród nich — wysoka, sztywna, rozglądająca się z dumą po ogrodzie.

Było zaś na co spoglądać. — Wrzesień mienił się w całej swej okazałości. Błyszczały owoce pośród zieleni, niby złote ampułki. Śliwki zwisały granatowe, jakby znudzone już blaskiem, który błękitny śród liści osuwał się na ziemię i po niej jak widzenie sunął niepewny w podwórze i dalej w pola szedł, skąd tęgim zapachem ude zały kwitnące żółto łubiny, oraz szorstka nać kartofli.

Cisza niewymowna razem z tym blaskiem rozpościerała się łagodna wszędzie i zdawała się nasłuchiwać, jak brzęczą lekko maneże, lokomobila huczy gdzieś w polu przeciągle, a wszędzie jaśnieją ogorzałe lica ludzkie. w oczach lśni uśmiech... Snują się oto powolni, zadumani, a pełni słodyczy, jak wszystko dokoła, owoce na drzewie.

Albo te jasne wrześniowe noce, gdy księżyc stoi jak zegar w pełni, kwiaty wylewają wonie szczodrzej, a głuche uderzenia owoców o ziemię są jakby wybijane godziny w ciszy.

Tak, gieorginia czułaby się szczęśliwą w barwnym swym królestwie, gdyby nie pewna rzecz. Oto naprzeciw niej przy płocie rósł słonecznik, który w czasie gdy inne kwiaty spoglądały na nią z podziwem — odwrócił się w stronę płotu ku drodze, obojętny na wszystko, odkąd złociste płatki jego korony zaczęły się skręcać i czernieć posępnie.

— Co ten cham sobie myśli? — rozważała dumnie. — Śmie lekceważyć mnie, odmieniec. Bo i skąd się tu dostał do nas? Drągal, parobek śród nas, wykwintnych kwiatów. Niech mu się nie zdaje, że ja spoglądam na niego. Hołysz, prostak!

I sztywna odwróciła się z pogardą w inną stronę. Słonecznik pozostał jednak nadal obojętny, nieruchomy. Cóż mogło obchodzić go wszystko, skoro ślepł pomału. Raziło go światło słoneczne, więc zwieszał głowę. Gieorginia zaś nienawidziła go co dzień okrutniej, mściwiej. Przestała nawet uważać na pogodę, która rozpościerała się po dawnemu bez zmiany — niebiesko srebrzysta. Dawało się tylko wyczuwać i w niej przedśmiertne znużenie.

Lecz oto zmieniła się stopniowo pogoda. Rankami miast rosy cukrzył się na liściach szron. W nocy zaś słychać było jakby chodzenie śmierci z sierpem w ręku po ogrodzie — nasłuchiwania utajonego oddechu roślin. Księżyc zaszedł zupełnie, wszystko powlokła czarność kirowa, w której działy się rzeczy okropne, bo niewidzialne, nieodgadnione.

I oto pewnej takiej nocy gieorginia usłyszała znienacka trzask przy płocie, gdzie rósł słonecznik. — Co by to mogło być? — Niespokojna nie mogła doczekać się rana.

Zaś skoro powstał świt, gieorginia spogląda i sobie nie wierzy. — Słonecznika nie było przy płocie. Zamiast zwieszonej głowy, sterczy tylko desperacki kikut... Ktoś w nocy ściął słonecznik.

Gieorginia poczuła wówczas w sobie łzy na ten widok. Byłaby krzyczała, gdyby mogła. . — Tak, poznała, skoro go nie stało, jak bardzo jej był drogi. Jaki teraz ten ogródek jest pusty bez niego. Zniknął, nim dała mu poznać, jak go nienawidzi — nie — miłuje śmiertelnie...

Smutne dni nastały teraz dla gieorginii. Nie cieszyło jej nic, nawet pogoda — co dzień czystsza, bledziej szafirowa. Zwiesiła także głowę. Wspaniała jej purpurowa korona zaczęła ciemnieć, skręcać się z żalu po słoneczniku, którego ona nienawidziła gdy żył, a teraz tęskni po nim tak boleśnie.

KULTURA, SZTUKA,

JERZY KORAB

O Zygmuncie Latoszewskim

Rodowity Poznaniak! Taki sam, a kich dziś dziesiątki tysięcy po nadwarciańskim mieście żyją. Latoszewski jest wychowankiem gimnazjum im. św. Marii Magdaleny. Gdy zaczynałem naukę w tym szczerze ukochanym i uwielbianym w miarę lat gimnazjum — Latoszewski właśnie kończył edukację. A była to edukacja o ważnych dla przyszłego działacza kulturalnego podstawach z łaciną i homerową greką na czele. Latoszewski jako abiturient grywał w szkolnej orkiestrze, prowadzonej przez nauczyciela Klawka. Ale „Marynka" się skończyła i zaczęły studia uniwersyteckie. Latoszewski poszedł na muzykologię a równocześnie zasmakował w karierze krytyka muzycznego. A miał szerokie horyzonty: przecież po sumiennej nauce gry skrzypcowej u Zdzisława Jahnkego można się było po młodym muzykologu spodziewać znajomości technicznej tego starodawnego instrumentu. A dziecinne lata prześpiewane w chłopięcym chórze katedralnym pod batutą ks. dra Wacława Gieburowskiego też pozostawiły niezatarty ślad w umysłowości człowieka, który już wkrótce stał się jedną z naczelnych postaci w poznańskim życiu muzycznym. Sam doskonale pamiętam wielką dla „Marynkarzy" uroczystość jubileuszową tego gimnazjum. Zgromadziliśmy się wtedy w Auli a przemawiali przedstawiciele dawnych matur. Powagą tchnęła postać ks. biskupa Lisieckiego, szacunkiem otoczona siwa głowa Cyryla Ratajskiego i tylu innych, innych... a młodziutki student uniwersytetu — Latoszewski — przemawiał imieniem najmłodszych maturzystów. Piękne były jego słowa — ślubowania. I przyrzeczeń tych dotrzymał — o czym każdy z poznaniaków najlepiej wie!

Latoszewski zjawił się w redakcji „Działu kulturv i sztuki" ówczesnego „Kuriera Poznańskiego" przedstawił się tegoż redaktorowi Witoldowi Noskowskiemu. Od owych dawnych chwil minęło bardzo wiele lat. Ale ten i ów dobrze pamięta sumienne i pieczołowicie skonstruowane krytyki muzyczne, sygnowane monogramem Latoszewskiego. Były one poważnymi omówieniami krytycznymi tego, co się w poznańskiej muzyce w one lata działo. A zdarzeń ważnych nie brakło. Konserwatorium pod berłem Henryka Opieńskiego miało za wzór uczelnie szwajcarskie. Wielkopolski Związek Śpiewaczy rozwijał się, jak nigdy chyba potem pod rządami Wiechowicza i Raczkowskiego, opera chlubiła się wielką liczbą nowych wystawień pomiędzy którymi znalazłeś szereg dzieł polskich, zapomnianych lub dotąd pominiętych. Latoszewski na wszystko uważnie spoglądał i sumiennie rejestry krytyczne sporządzał. Wtajemniczeni wiedzieli, że sposobi się do działalności dyrygenckiej i czekali na debiut. A Latoszewski tymczasem studiował materiały do biografii Macieja Kamieńskiego, autora pierwszych „oper" polskich. Rozprawa ta przyniosła mu w darze tytuł doktora filozofii. Dziś rękopisy tych praoper naszych spaliły pożogi wojenne. Nie istnieją! Ale dzięki zapobiegliwości Latoszewskiego są naukowo opracowane. I pojawią się w druku, bo to obowiązek poważny wobec polskiej muzykologii

Wreszcie Latoszewski stanął przy dyrygenckim pulpicie w operze. „Straszny dwór" był jego debiutem artystycznym. Trudno było o lepszy wybór. Ta najbardziej polska opera szczególnie przypadła do serca młodemu kapelmistrzowi. Nie dziwimy się też bynajmniej, że właśnie Latoszewskiego zaproszono do redagowania nowego wydania tej opery. Łatwo się o tym przekonać czytając tytułową stronę partytury „Dworu". Po debiucie poszły inne przedstawienia operowe a obok nich działalność symfoniczna. W tej dziedzinie Latoszewski w bardzo krótkim czasie stał się jednym z najbardziej znanych w Polsce pracowników. Dyrygował w każdym mieście, w którym istniała orkiestra symfoniczna. Z biegiem lat stworzył sobie repertuar, którym — co tu dużo pisać — zasłynął! Nikt w Polsce lepiej od Latoszewskiego nie czuje muzyki francuskiej. Przyznaje to jednogłośnie prasa muzyczna i to nie od dzisiaj. Prywatną „namiętnością" Latoszewskiego jest Karłowicz. Ileż razy jego dzieła płynęły spod batuty młodego muzykologa — muzyka! Mało kto tak pięknie potrafi prowadzić tragiczny poemat „Oświęcimów", mało kto tak świetnie akompaniuje do „Skrzypcowego koncertu"! I w tych oto dniach Latoszewski w Warszawie dyrygował znowu Karłowicza. W Warszawie, bowiem tam rzuciły go losy wędrowca.

Opera Poznańska ma Latoszewskiemu niezwykłą wdzięczność na „koncie". Tyle lat dyrekcyjnych potrafiło stworzyć pewną linię ideową. Podźwignęli ten budynek z wojennej ruinacji dzielni pracownicy miejscowi z Wojciechowskim na czele ale Latoszewski otworzył podwoje ku światu Dziś przeniósł się do stolicy na ważne stanowisko artystyczne. Z dala od swego rodzinnego miasta pracuje wespół z Mieczysławem Mierzejewskim — współkolegą z tejże same „Marynki". — Obaj dzielą trudy stworzenia nowej, wielkiej Filharmonii Stołecznej. Obaj budują Wielki Dom! Gdy przyszło mi całkiem prywatnie żegnać Zygmunta Latoszewskiego na peronie poznańskiego dworca — mówiliśmy o Karłowiczu. Mówiliśmy i długie jeszcze lata mówić o nim będziemy. Bo Latoszewski, którego działalności nie opisują te skromne wspomnienia dokładnie (a „Hasło"? a redagowanie „Muzyki kościelnej"? a wyjazdy koncertowe za granicę? a Belgia, Czechosłowacja? a zaszczyt pierwszego w Polsce wystawienia „Harnasiów"?...) zawsze pozostanie do Poznania „adscriptus". Przywiąże go do tego miasta serce. I niech przypomni sobie fragment z wiersza Mickiewicza „...żem zawsze cząstkę mej duszy zostawił..." Bo miasto choć z murów zbudowane — ma kamienne, wdzięczne serce. Tylko trzeba się jego dogłębnego rytmu doszukać — Zygmunt Latoszewski to potrafi!

STANISŁAW ŁUKASIEWICZ

GENIA

Gieńka ubierała się powoli, niechętnie, z omroczoną twarzą.

Nie cieszyła ją już nawet suknia, o której tak marzyła przez cały tydzień. Jakiś lęk, trema i smutek powstawały w niej, że myślała o balu wciąż raczej z niesmakiem, niż z radością. Zresztą popsuła jej humor sprzeczka ojca z matką, podczas kolacji, jak zawsze o wydatki, tym razem matka nie umiała wytłumaczyć się na co zużyła dane jej w przeddzień trzy złote.

Stary był niezmiernie wrażliwy na niedokładności w rachunkach i o byle grosz robił awanturę, swoim zwyczajem w sposób bardzo przykry i dotkliwy, wśród dojmujących uwag o niedołęstwie żony i starszych dzieci, rozdrażnionego narzekania na wieczną nędzę.

Gieńka jednak wyczuwała i rozumiała ojca dobrze.

Tych dwieście kilkadziesiąt złotych miesięcznej pensji podrzędnego urzędniczka na ich rodzinę siedmiu osób, było tak mało, że w ubiorach swych z trudem ukrywali ostateczne ubóstwo; organizmy nurtował ciągły niedosyt, z czego rodziła się powszechna u nich pochopność do irytacji, apatia, rezygnacyjny smutek.

W tych warunkach roztrwonienie złotówki było naprawdę przestępstwem, przy tym właściwie matka była wtedy nieoględną i Gieńka, która nie miała serca przy swojej biernej naturze, robić matce jakichś wymówek, w gruncie przyznawała ojcu słuszność, gdy dawał on żonie gorzkie, opryskliwe rady i czynił jej cierpkie uwagi.

Gience dano, ulegając powszechnemu zwyczajowi i przykładom w dalszej rodzinie, gimnazjalne wykształcenie. Okazało się wnet, że to nie przyniesie jej żadnych możliwości zarobkowych. Zaczęła tedy rodzinie ciążyć, odczuwała, że nadszedł moment, kiedy powinna sama myśleć o swoim losie. Przychodziły jej do głowy różne pomysły zdobycia pracy, pieniędzy, nieraz desperackie, ale czas mijał i Gieńka nadal mieszkała i żywiła się u rodziców.

Aż wreszcie matka, niemniej biedząca się nad przyszłością córki, odkryła Amerykę, wystąpiła z rewelacyjnym projektem: trzeba Gieńkę za mąż wydać.

Słuchająca dziewczyna uśmiechnęła się kącikiem ust z tej naiwności, ale zarazem w sercu jej i duszy poruszyły się tęskne, gorące uczucia, oczy zaszły marzeniem.

Ojciec ustosunkował się do sprawy obiektywnie, z pewnym zainteresowaniem, jak do rzeczy nad którą warto pomyśleć. Zapisano ją na uniwersytet, zrobiono z niej studentkę, raczej by dziewczyna miała okazję zawarcia znajomości, których przedtem posiadała bardzo mało.

Gdy nadszedł karnawał, matka postanowiła chodzić z Gieńką na bale. — słusznie uznawając je za najbardziej sprzyjające okoliczności do przeprowadzenia ukartowanego planu, a i ojciec odniósł się do związanych z tym wydatków, jako do zrozumiałej konieczności, bez której sprawy nie ruszą z miejsca.

Przy pomocy jak najdalej posuniętych oszczędności zebrano kilkadziesiąt złotych na suknię. Ojciec przyobiecał wyżyłować się parę razy na bilety, jedynie postanowiono nie jadać na balach kolacji, a posilić się dostatecznie przed wyjściem z domu.

Właśnie dzisiaj miały wyruszyć po raz pierwszy.

Gieńka była prawie już gotowa, sprawdzała w lustrze swój wygląd.

Opanowało ją teraz podniecenie, w przewidywaniu wielu radosnych możliwości drżała z lekka; przypomniały jej się zabawy szkolne, na ogół bezbarwne i nieefektowne ale odpędziła te dość niemiłe wspomnienia i, przezwyciężywszy niesmak i nieuzasadniony smutek niedawny, oddawała się nadziei, patrząc badawczo w swoje rozświetlone oczy.

Obok w pokoju leżał na łóżku ojciec i przeglądał gazetę, dwie młodsze siostry grały w „chińczyka", a matka w kuchence grzała rurki do włosów.

W kącie rozwalał się na tapczanie jej starszy brat, czytający książkę i dogadujący co chwila Gieńce. Nie przejmowała się tym i ująwszy się pod boki, okręcała się przed lustrem.

— Nie kryguj się, nie kryguj! Wyglądasz jak kocmołuch! Chciałbym widzieć tego, kto będzie z tobą tańczył! — śmiał się sztucznie, skrzekliwym, kpiarskim głosem.

Dziewczynę wreszcie ogarnęła irytacja.

Cicho bądź! Wynoś się stąd! Tatusiu, niech Olek stąd wyjdzie! Chwilki nie można mieć spokoju! Ciągle docinki i docinki! Złośliwy jak małpa! — wymówiła z zawziętością.

— Olek. Olek! — odezwał się obojętnie znad gazety ojciec.

Wałkoń jeden! — szepnęła prawie z nienawiścią.

— Prukwa! Zamąż się dziwce chce! — śmiał się hałaśliwie, z udanym rozbawieniem, machając bezceremonialnie długimi nożyskami w powietrzu.

Gieńka umilkła momentalnie, przestraszona. Najbardziej nie lubiła i bała się jego tego rodzaju żartów, przed którymi kapitulowała natychmiast i ratowała się rejteradą. Wyśmiał się, nawykrzywiał i na koniec znudzony obojętnością siostry ze zwykłą półironiczną miną zaczął patrzeć znowu w książkę.

Myślała o nim mściwie. Chłop już dwadzieścia dwa lata, a jeszcze nie może wyleźć ze swojej szkoły. Chodził do średniej technicznej i prawie na każdym kursie siedział dwa lata. Próżniak, kłamczuch, lopek i wydrwigrosz.

Siostry i mały braciszek poszli już spać, matka wreszcie się wyszykowała i w stołowym pokoju nakładały palta. Olek podniósłszy się z tapczana, ociężale jak niedźwiedź i niedbale pomagał nałożyć okrycie matce i siostrze.

Ojciec sponad gazety patrzył na Gieńkę uważnie i z osobistą ciekawością.

Wsiadły w tramwaj i pełne emocji, oczekiwania i niepewności, zajechały na miejsce.

Był to bal tego wydziału, na który zapisała się Gieńka. Sala taneczna znajdowała się na piętrze, dokąd wchodziło się po schodach, wyłożonych czerwonym dywanem. Kupiły bilety i krotochwilnie, zalotnie uśmiechnięte udały się do szatni, gdzie wśród pachnących, odświeżonych dziewczyn, skrupulatnie uczesanych młodzieńców o pewnej siebie minie i protekcjonalnym geście, zdjęły palta. Z pomieszaną lecz obowiązkowo rozjaśnioną twarzą stanęły u wejścia na sale i bezradnie patrzyły na kolorowy, kołyszący się tłum w takt tanga. hałaśliwych dźwięków harmonii.

Spostrzegły na lewo szereg wolnych krzesełek i przesuwały się tam nieśmiało i bez przekonania. Usiadły i przybrały minę lojalnie uradowaną.

Gieńkę ogarnęło nieopanowane drżenie; dłuższy czas minął. zanim się uspokoiła i oddała całą duszą muzyce i widokowi, poruszających się melodyjnie, splecionych w delikatnym uścisku ciał. Podobało się jej wielu chłopców. Rzewne marzenie, wzbudzane burzą dźwięków upajającego tanga, wypełniło jej duszę, zapragnęła uścisku czyjegoś młodego ramienia, odczuła potrzebę cichej, ufnej miłości.

Orkiestra przestała grać i pary rozbiegły się ku krzesłom. Gieńka obserwowała ostrożnie. z rodzącą się tęsknotą, wysokiego młodzieńca, który spacerował w towarzystwie wysmuk-

WIEDZA DLA WSZYSTKICH

ROZMOWA
z Romanem Brandstaetterem

Roman Brandstaetter do niedawna nie znał naszego miasta zupełnie, ale gdy przed trzema miesiącami tu zawitał, od razu pełną piersią zaczerpnął jego powietrza i wyczuł w nim moce i właściwości nie wszystkim stałym nawet mieszkańcom znane. Umie bowiem brać życie za czub i odkrywać atmosferę właściwą Już sama jego sylwetka o krogulczym profilu i wysokim czole wyraża energie i zdobywczość — łagodzone jednak życzliwym uśmiechem, z którym idzie wypadkom i ludziom na przeciw, ufając, że mu się nikt i nic nie oprze Od razu też wciąga mnie w swój optymistyczny, jasny krąg widzenia. Opowiada chętnie o przeszłości, ale chętniej jeszcze o przyszłych zamierzeniach i planach.

Urodził się i dzieciństwo spędził w Tarnowie. Doktorat z polonistyki otrzymał na Uniwersytecie Jagiellońskim. W roku 1929 wyjechał za stypendium do Paryża dla uzupełnienia studiów. Wojna zastała go w Warszawie, a potem pchnęła na długą tułaczkę poprzez Litwę Kowieńską, Moskwę, Baku, Morze Kaspijskie, Teheran, Bagdad, Aman do Jerozolimy, gdzie przebył 4 ciężkie, pod względem materialnym lata. Po skończonej wojnie wyjechał do Rzymu. W r. 1946 wrócił do kraju, ale wkrótce zamianowany attaché kulturalnym przy ambasadzie R. P., znalazł sie znowu w stolicy Włoch, gdzie przebywał do wiosny bież. roku.

—Oto pokrótce historia podróży i zmian miejsca zamieszkania — powiadam — a teraz, proszę o ważniejszą: pisarskiej twórczości.

— Z góry zaznaczam — odpowiada żywo — że nie przykładam wagi do mojej twórczości przedwojennej. Tych parę tomów poezji i rozpraw historyczno-literackich np. „O ostatnich chwilach Mickiewicza" nie miały żadnego wpływu na moją obecną twórczość, miały tylko charakter przygotowawczy. Pisarzem poczułem się dopiero w Jerozolimie, gdy zacząłem pracować nad pierwszym moim dramatem: „Powrót syna marnotrawnego" (Historia o Rembrandcie). I teraz już wiem z całą stanowczością, że tylko dramat jest moim właściwym kierunkiem, nie potrafię już myśleć innymi kategoriami jak dialogiem.

— Ale czy to powołanie pisarskie nie miało swych źródeł i zapowiedzi we wcześniejszych latach?

— Owszem. Dwa momenty w życiu moim zasygnalizowały niejako późniejszy rozwój zainteresowań formalnych. Były nimi: pierwsza bytność w Operze Wiedeńskiej na „Latającym Holendrze" w wieku lat sześciu, oraz wrażenie uczniaka, jakim wówczas byłem, z przedstawień odegranych w rodzinnym mieście przez wędrujący teatrzyk Dante — Baranowskiego. Może pani dorzucić tutaj ciekawy szczegół, że jeden z aktorów zespołu Dante — Baranowskiego, a obiekt mojego ówczesnego entuzjazmu, Janusz Warnecki — stał się później doskonałym interpretatorem mojego Rembrandta w Krakowie. Również silne i niezatarte wrażenie wywarł na mnie wspaniały wielki teatr rosyjski, widziany w Moskwie. Formę dramatyczną utworu stawiam bardzo wysoko nie tylko dlatego, że odpowiada najlepiej memu temperamentowi pisarskiemu, ale i dlatego — i tu zapala się mój rozmówca — że przypisuję jej niezwykłą wagę w oddziaływaniu na masy. Dzisiejszy dramat powinien stać moralnie i etycznie bardzo wysoko, aby działać jako kontrofensywa przeciw zezwierzęceniu człowieka

— A jakie prace pana pochodzą z czasów rzymskich?

— W Rzymie pisałem sztukę o Mickiewiczu „Noce narodowe", do której posłużyły mi materiały zebrane w Paryżu w archiwum mickiewiczowskim i książkę o św Franciszku pod tyt.: „Kroniki Assyżu". Tutaj zaś w Poznaniu zabrałem się do trylogii piastowskiej, mającej się składać z trzech dramatów: Henryk Probus, Przemysław II i Władysław Łokietek. Przemysława II już wykończyłem Prapremierę jego da Teatr Polski w listopadzie.

A teraz porzucając sprawy osobiste, mówi Brandstaetter z wielkim przejęciem o niezwykłej i zapoznanej prawie tragedii wielkopolskiej linii Piastowiczów, rozegranej na przełomie XIII w. na tutejszym terenie. Oni bowiem jedni, ci Piastowicze, mieli niejako we krwi przeczucie niebezpieczeństwa germańskiego w osobach książąt Brandenburskich. Oni jedni, Przemysław II zwłaszcza opierali się im całą siłą i oni tylko może by potrafili prędzej czy później to niebezpieczeństwo zlikwidować, a wówczas losy Polski całej innym potoczyłyby się torem. Śmierć skrytobójcza Przemysława w Rogoźnie i wzrost przewagi Piastowiczów Małopolskich jest osią tego dziejowego dramatu, który pasionuje w tej chwili naszego pisarza i zapładnia jego wyobraźnię.

— Poza tym — ciągnie dalej — chcąc jasno wykazać powody sympatii swoich do naszego miasta — Poznań ma przed sobą ogromną przyszłość kulturalną. Wszak po przesunięciu granic na zachód stał się poważnym ośrodkiem zobowiązującym go do wypromieniowywania kultury wokoło. Posiada też wszystkie ku temu warunki i narzędzia sztuki: operę, teatr, balet, filharmonię Predystynowany jest więc ze wszech stron na czołową w Polsce placówkę. W zrozumieniu tej jego roli organizujemy (grupa ludzi ze świata kulturalnego) wydawanie miesięcznika: „Echo teatralne i muzyczne" oraz kilku tomów rocznie Biblioteczki Teatralnej.

Tak więc kierunek zainteresowań autorskich pisarza szukających tematów w przeszłości naszej dzielnicy, łączy się w żywotnym jego charakterze z działalnością organizacyjną przy budowie jej przyszłości kulturalnej. Poznań zatem przypadł mu do gustu i zatrzymuje go na stałe.

Amelia Łączyńska

PRZEGLĄD KULTURALNY

Przed niedawnym czasem wrócił z tułaczki do kraju znany i ceniony portrecista poznański Kazimierz Jasnoch.

Portrety tego artysty a zwłaszcza pastelowe, cieszyły się na wystawach poznańskich i krajowych wielkim uznaniem i powodzeniem.

Artysta urodził się 4. 3. 1886 r. w Czersku na Pomorzu w pow. chojnickim. Studia malarskie rozpoczął w Berlinie w szkole prywatnej „Zuchorsa". W 1909 r. wstąpił do Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych (Hochschule für die bildenden Künste) w Charlottenburgu w Niemczech.

W 1912 r. przeniósł się do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie był uczniem prof. Axentowicza.

Po ukończeniu studiów, osiadł na stałe w Poznaniu, gdzie brał żywy udział w świecie artystyczno-kulturalnym, od 1913 r.

Nie istniejący już dzisiaj Salon Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, był zawsze na wystawach licznie obesłany dziełami Jasnocha. Okres pierwszej wojny światowej (1914—18) przeszkodził artyście w kontynuowaniu jego dalszej pracy artystycznej, gdyż musiał tak, jak inni Polacy z zaboru pruskiego brać przymusowy udział w wojnie. Również i praca konspiracyjna w ruchu niepodległościowym, zabierała jemu wiele czasu co w konsekwencji spowodowało pewne luki w paśmie jego bardzo intensywnej i wydajnej pracy. Mimo to zdążył w tym okresie wystawić szereg akwarel i szkiców, ilustrujące fragmenty z wojny. Dalszą przerwę w jego pracy spowodowało znów Powstanie Wielkopolskie (1918), w którym brał wybitny udział jako powstaniec, a pod koniec jako organizator Wojska Wielkopolskiego. Po przejściu z czynnej służby wojskowej do rezerwy w stopniu kapitana, wrócił znów do pędzla i palety.

Dzieła Jasnocha reprodukowano w najpoważniejszych czasopismach polskich. Pasmo jego mrówczej pracy przerwała znów druga wojna światowa w 1939 r., w której brał czynny udział jako żołnierz polski a potem zapędzony został jak wielu innych na Zachód. Po ukończeniu działań wojennych oddaje się artysta dalszej swej pracy artystycznej wśród Polaków na obczyźnie, a mianowicie we Francji i Szwajcarii, gdzie powstają jego nowe dzieła oparte przeważnie na życiu swych rodaków w obozach pracy.

Tęsknota za krajem i miłość dla Ojczyzny powoduje powrót artysty do kraju, gdzie w swym kochanym Poznaniu kontynuuje od nowa swoją pracę artystyczną dla dobra odrodzonej Polski Ludowej.

Sz. Lisiecki

*

Okres lata jest okresem przydzielania nagród literackich. Może właśnie dlatego, że jest to równocześnie okres „wczasów" wyniki nagród nie docierają w takiej, jak należało by mierze do czytelników. Zdzisław Hierowski w dodatku literackim do Il. Kuriera Wrocławskiego znajduje jeszcze jeden powód: zdewaluowanie nagród literackich przez sensacyjne i atrakcyjniejsze na przykład ciągnienie Loterii Państwowej i w wyniku omawianie w prasie szerzej sprawy nowych milionerów, niż nagród literackich. Dla przypomnienia podajemy: nagrodę „Odrodzenia" otrzymał w b. roku Andrzejewski za powieść „Popiół i diament". W „Odrze" pierwsza nagrodę otrzymał A. Gołubiew za dwa tomy „Bolesława Chrobrego".

Dla poznańskich czytelników będzie może interesujące dowiedzieć się, że poważną szansę do zdobycia nagrody w „Odrodzeniu" miał prof. W. Kubacki, prezes Zaw Zw Literatów w Poznaniu, za doskonałe swe essaye wydane u Władysława Bąka we Wrocławiu. Drugą nagrodę w „Odrze" otrzymał St. Sulima za „Ziemię odnalezionych przeznaczeń", wydaną przez Wydawnictwo Zachodnie w Poznaniu.

Poza tym jury na konkursie „Odry" wyróżniło kilka książek, między innymi Jana Sztaudyngera „Strofy Wrocławskie", książkę pięknie wydaną (również w Wydawnictwie Zachodnim) z rysunkami J. Wronieckiego, profesora Państw Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Tak więc i Poznań ma swój wkład i udział w wyróżnionym dorobku literackim 1948 roku.

*

Dnia 19 września odbył się w Polskiej Wsi pod Pobiedziskami w Liceum żeńskim wieczór autorski Kazimiery Iłłakowiczówny. Autorka opowiedziała słuchaczom swoje wrażenia z pobytu na Węgrzech i w Rumunii, przeplatane wierszami. Odczyt utrzymany w tonie popularnym zgromadził około 200 osób młodzieży i zaproszonych przez nią osób z rodziny.

Muzyka Rozgłośni Poznańskiej
w nadchodzącym sezonie

Poważny wysiłek organizacyjny i artystyczny wykazał koncert muzyki ludowej w dniu 12 września w aul. uniwersytetu na którym zostały wykonane suity i wiązanki ludowych pieśni, tańce (F Nowowiejski, M. Obst, M. Wojciechowski, Świerzyński Roguski). Do kategorii koncertów o szerokiej popularności należały audycje „Przy sobocie po robocie" „Podwieczorki przy mikrofonie" i koncerty muzyki ludowej i rozrywkowej, w których brała udział Orkiestra Rozgłośni, chóry miejscowe i soliści. Stałą pozycją mającą na celu kult pieśni ludowej polskiej i słowiańskiej były niedzielne koncerty najlepszych chórów poznańskich i prowincjonalnych zorganizowanych w Wielkopolskim Związku Śpiewaczym, który okazywał zawsze chętną pomoc organizacyjną.

Przy Rozgłośni „Polskiego Radia" istnieje Koło Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, które zorganizowało koncert muzyki radzieckiej w Hali Zakładów Cegielskiego (wysłuchało go 3000 robotników) oraz koncert publiczny w auli Państwowego Konserwatorium. Prócz tego zorganizowało około 14 mniejszych koncertów połączonych z odczytami i częścią literacką w salce Związku Pracowników P. R oraz w studio Rozgłośni, na których członkowie Koła i zaproszeni goście mieli okazję zapoznać się z muzyką i literaturą radziecką. Z okazji miesiąca Przyjaźni ze Związkiem Radzieckim (7. 10. do 7. 11. br.) nadawać będzie Polskie Radio w Poznaniu w każdym tygodniu muzykę radziecką (wtorki i piątki od godz. 12.50—13.30) a w programie ogólnopolskim usłyszymy w tym okresie kilkanaście koncertów organizowanych przez Wydział Muzyczny P. R. w Warszawie, w których wezmą również udział wybitni soliści poznańscy. 31 października zorganizujemy koncert współczesnej muzyki radzieckiej, który odbędzie się w auli U. P

Na miesiąc grudzień przygotowuje Rozgłośnia Poznańska wybitną i jedyną swego rodzaju imprezę. Odbędzie się publiczny koncert transmitowany przez wszystkie polskie i prawdopodobnie zagraniczne rozgłośnie, poświęcony utworom wybitnych kompozytorów polskich, wyróżnionych na międzynarodowym konkursie olimpijskim w Warszawie.

Będą to: Symfonia Zbigniewa Turskiego oraz Kantaty Wiechowicza, Szeligowskiego i Bacewiczówny Od 4 października wchodzi w życie nowy program pod hasłem „Frontem do wsi". Nie jest to jednak równoznaczne z tendencją obniżania poziomu koncertów. Słuchacz wiejski jest tak samo wrażliwy na piękno muzyki, jak inteligent, czy robotnik miejski i zachwyci go zarówno Symfonia Beethovena, Polonez Chopina, jak opery Moniuszki czy Czajkowskiego, jak pełna wdzięku muzyka ludowa. Tylko musi być wyeliminowana z audycji radiowych muzyka zupełnie nieprzystępna W związku z tym muszą ulec pewnej selekcji programy koncertów symfonicznych, kameralnych i solistycznych, które stanowić będą jak dotychczas poważną pozycję w programach Polskiego Radia, ale z myślą, że Polskie Radio nie nadaje swoich koncertów dla zadowolenia li tylko garstki znawców, ale dla blisko już dwumilionowej rzeszy słuchaczy, wśród których chłop i robotnik stanowi dominujący liczebnie czynnik. I tych musimy zadowolić i przyciągnąć do słuchania audycji.

Do najbardziej lubianych przez słuchaczy audycji są transmisje operowe, które będą oczywiście kontynuowane. Pierwszą operą nadaną z Teatru Wielkiego w Poznaniu będzie prawdopodobnie opera „Goplana" w nowej premierowej obsadzie. Również będą transmitowane na wszystkie polskie rozgłośnie koncerty symfoniczne Filharmonii poznańskiej, w tym pierwszy jej inauguracyjny koncert w dniu 1 października.

W miesiącu październiku odbędą się ponadto koncerty rozrywkowe z fabryki „Stomil" w Starołęce (2. 10.) i podwieczorek przy mikrofonie ze Swarzędza (3. 10.), a w ramach miesiąca pogłębienia przyjaźni polsko-radzieckiej nada Rozgłośnia Poznańska 5 koncertów muzyki radzieckiej, w których wezmą udział: Orkiestra Rozgłośni, chóry, wybitni soliści oraz 11 koncertów muzyki radzieckiej z płyt.

F. Łukasiewicz

łej dziewczyny, o niezwykle słodkiej twarzyczce Przyznawała jej to bez niechęci, a nawet z cichym, estetycznym upodobaniem.

Gieńka wpatrywała się w niego długo, chłonąc jego gesty, błysk oczu, sposób obcowania z partnerką. Tak była nim zajęta, że nawet nie mogła roześmiać się zupełnie szczerze z przesadnie opiekuńczej nabzdyczonej miny matki.

Rozległa się komenda wodzireja: panowie prosza panie do tanga — i Gieńkę przejmowało zwolna uczucie ścisku, niepewności, strachliwego zażenowania, przywołała jednak na usta polecająco zalotny uśmiech.

Jednocześnie paliło jej świadomość poniżenia, wywołane tym oczekiwaniem, gdy tkwiła tak w upakarzającej bierności, wystawiona jak towar na sprzedanie. Przesunął się przed nią cały szereg panów, obejmujących siedzące dziewczyny niby ostrożnie i dyskretnie a jednak wyraźnie uważnym spojrzeniem od stóp do głowy. Z irytującą i drażniącą ją samą skwapliwością podchwytywała kierowane w jej stronę spojrzenia i kokieteryjnie wyrażała oczyma łaskawą gotowość. Jednakże wzrok tancerzy prześlizgiwał się po jej właściwie nieefektownej postaci obojętnie i tylko widziała schylające się w ukłonie sylwetki z prawa i lewa.

Sala wypełniła się znów ruchem, muzyką, błyskiem oczu i ust, a Gieńka zajęta była przez chwilę badaniem, czy też tylko ona sama została wzgardzona. Spostrzegła jeszcze kilka apatycznych, zgaszonych panien i jakby lżej zrobiło jej się na sercu. Zupełnie to nie uwolniła się od gniotącego ją gorzkiego rozżalenia; właściwie w głębi jej duszy działa się wielka, choć cicha tragedia, nad wszystkimi wartościami życia i świata pojawił się znak zapytania, rozkładowe, niszczycielskie poczucia zwątpienia, nihilizmu wchodziły w jej świadomość tak dotkliwie jakby powstawało niespodziewane a groźne jakieś cierpienie fizyczne. Próbowała przeciwstawiać się temu, pocieszającą filozofią rezygnacji, ale nic nie pomagało i suchymi poszerzonymi oczyma patrzyła nieruchomo na rozjaśniony tłum taneczny, podczas gdy przejmujące dźwięki tanga brały ją w swoje posiadanie i rodziły poza wszystkim cichą tęsknotę za jakimś dalekim, swoim własnym światem.

Nie lepiej było i z następnymi tańcami i gdzieś w połowie nocy, Gieńka spojrzawszy uważnie na matkę, dostrzegła jej osowiałą minę i zarazem odkryła w lusterku kwaśność własnej twarzy — z trudem ukrywane cierpienie. Obie bez porozumienia a jednomyślnie uznały, że nadszedł czas wracać do domu. Podniosły się już naturalnym ruchem znudzenia i poszły do szatni.

Gieńka, czekając na palta, starała się zbagatelizować sytuację. Jakby w zrozumiałym zmęczeniu i senności oglądała się obojętnie po otoczeniu — na sufit, na ściany, ziewnęła i spokojnie nakładała podawane jej przez woźnego okrycie.

— Nie chodź tam, nie chodź tam!!

Odnalazły schody, po których zasępiona matka szła z zachowaniem ostrożności, a dziewczyna stąpała za nią niedbale i wyzywająco, patrząc mimochodem to na sufit, to na przeciwległą ścianę. Przed stolikiem, gdzie sprzedawano przedtem bilety, zatrzymała się na moment i od niechcenia, z ciekawością, która wypływała raczej z tego, że nie zależało jej na czasie, podniosła i dość obojętnie obejrzała jakieś zaproszenie, czy kartę reklamową.

Matka dzwoniła już do drzwi wejściowych i spoglądała w jej stronę bezbarwnie. Do domu szły na piechotę, w milczeniu. Gieńka myślała przede wszystkim o śnie. W ostrym, zacinającym mrozem wietrze, wszystko inne było jej teraz obojętne, tęskniła do łóżka i do spokojnego dumania w cieple i samotności. Otworzył im zaspany i gniewny Olek i Gieńka nie patrząc na niego, szybko przeszła do pokoiku jadalnego, gdzie stało jej łóżko wraz z łóżkiem młodszych sióstr. Starając się nie słyszeć przeczuwanych uwag brata i jego, już zaczynającego się śmiechu, szybko się rozebrała i z gorzkim echem żalu i tanga w duszy, wsunęła pod kołdrę.

Nazajutrz wstała osowiała i zrezygnowana. Wypełniła ą przy tym jakaś obojętność, z którą cierpliwie znosiła szydliwy półuśmiech brata, pewien chłód, jaki szedł ku niej od matki i nieco lekceważące spojrzenie ojca patrzącego na nią bez wiary, jak na rzecz, która ostatecznie straciła swą wartość.

Po paru dniach, kiedy wyrównały się nastroje i zapanowała znowu, mimo wszystko u podstawich wzajemnego stosunku, leżąca życzliwość rodzinna, postanowiono bez względu na sprzeciw Gieńki, zresztą słaby, chodzić z nią według zasady że nie od razu Kraków zbudowano, na zabawy przez cały karnawał.

Największą z tej uchwały uciechę miał Olek, ustosunkował się on do niej od razu trzeźwo, bez złudzeń i ze swego tapczana wykrzykiwał na wszystkie dwa pokoje.

— Będzie siała pietruszkę jak przedtem! Będzie siała pietruszkę!

Istotnie, przypuszczenia ego, choć złośliwe, okazały się słuszne i jeszcze po dwukrotnej wypraawie zakończone równie niepowodzeniem w czasie których dziewczyna prawie nie tańczyła z przyczyn w ogóle niewyjaśnionych, nad wykryciem których wszyscy, z wyjątkiem Olka, na próżno trudzili głowy, zdecydowano dać wreszcie balom święty spokój i przekonano się ostatecznie że wkłady przepadły.

Nadszedł post i monotonnia codziennego biedowania. Gieńka chodziła na wykłady, choć wiedziała, że z tego nic

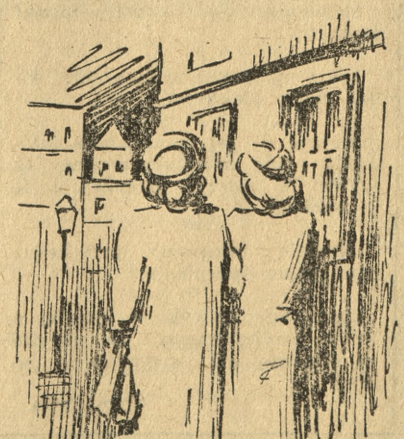

nie będzie, nie zanosiło się na to, by znalazły się pieniądze na czesne, opłacenie egzaminów, przy tym studia dopiero co zaczęła, a jeszcze jakieś pięć lat potrzebnych na ukończenie tego jej wydziału humanistycznego, wymagały przesiadywania u rodziców i korzystania z ich pomocy, a tymczasem dorosną Zocha, Baśka i niezadługo Janek. Z Olkiem też nie wiadomo jeszcze co będzie. Dziewczyna przemyśliwała co dzień o tym wszystkim i bliską była desperacji, aż któregoś dnia wieczorem, gdy siedziała przy stoliku i tak dumała, zerwała się nagle z buntowniczym postanowieniem: Opuści wreszcie już ten dom, przestanie być ciężarem słabemu ojcu. Zgodzi się za byle co, praczkę, na gorszą służącą byle im zejść z oczu, byle im zejść z oczu. Zaraz dzisiaj! Ubrała się gorączkowo, prawie nieprzytomna w palto i wybiegła na ulicę.

W usta, rozpaloną twarz uderzył ją za bramą gwałtowny podmuch lodowatego wichru, pełnego kłębiących się tumanów śniegu.

Gieńka zatrzymała się niepewnie Przejął ją wstrząsający ziąb Jednakże ruszyła stanowczym krokiem przed siebie. Ale im dalej szła tym mniej miała zapału i uporczywości w postanowieniu. Ulice były prawie bezludne wszystkich trzymała w domu wichura. Przed kościołem, na mrozie i lodowatych płytach kamiennych chodnika, leżał boso w jednej tylko marynarce, z głową wtuloną pod ramię młody chłopiec. Widok ten przeszył serce Gieńki jak ostra szpada. Ogarnęło ją zarazem paniczne przerażenie, a potem niski, wstrętny strach Zawróciła czym prędzej i przyszła do domu, bez myśli w głowie, walcząc po drodze z wichurą i śniegiem.

W pokoju jadalnym zastała matkę Kobieta stała przy oknie i z obawą patrzyła na pobladłą, przejętą najgłębszą boleścią twarz Gieńki. Zdemolowała ona palto w pobliżu matki pokornie i nieśmiało.

I nagle została objęta ramieniem przyciśnięta do piersi matki która cicho mówiła:

— Nie bój się, nie bój! Jakoś sobie damy radę! Tylko się nie martw!

Gieńka tuliła głowę do matki i w ramionach jej szukała zapomnienia o sobie i o życiu.

TAJEMNICA RADARU

(Dokończenie ze str. 1)

Tak więc gdy w 1940 r. (i również później) niemieckie bombowce wystartowały np z wybrzeża francuskiego przeciwko Anglii — angielski radar widział każdy samolot dokładnie „jak na dłoni" i śledził jego lot, można na ekranie radaru uwidocznić nawet kształt samolotu — i angielskie przeciwlotnicze i myśliwce itd. załatwiały się z wrogiem z niezwykłą precyzją. Anglicy sami przyznają, że bez radaru nie byliby wygrali „bitwy o Anglię". Radar też wykopał grób niemieckim łodziom podwodnym, japońskiej flocie, unieszkodliwił osławione niemieckie V1. Radar też umożliwiał bombowcom angielskim i amerykańskim zrzucanie bomb na kraj wroga z zabójczą precyzją na cele zasłonięte chmurami, mgłą lub zasłoną dymną. Radar wygrał wojnę.

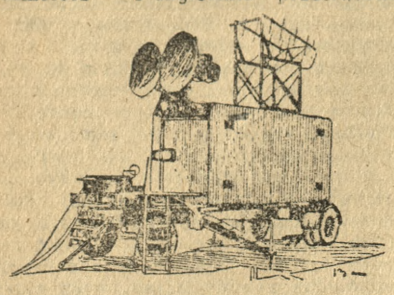

Aparatura radarowa do kierowania ogniem dział, pracująca na falach centymetrowych długości. Dwa paraboliczne reflektory służą do skupiania fal radiowych w wąskie smugi. Zespoły anten na drugim końcu kabiny są przeznaczone dla I. F. F. — odróżnienia aparatów własnych od nieprzyjacielskich.

„Radar widzi wszystko, widzi na odległość 50, 100, 200 i więcej kilometrów — i czy panują egipskie ciemności, czy londyńskie mgły — dla radaru jest to całkiem obojętne" zakończył Tadek.

„Doskonale", pochwaliła moja żona. „Proszę cię Tadku, kup taki radar". „Po co?" „To będę zawsze widziała, w której knajpie nasz tatuś urzęduje przy butelce i z kim". Klapnąłem jak szczoryk. Ale po chwili szepnąłem swojej ślubnej „coś" do ucha — roześmiała się srebrzyście — „nie, nie, już nie chcę radaru".

Ale to się zgadza — radar może być i jest już w praktyce stosowany do najróżniejszych celów i zadań o charakterze pokojowym. Szczególnie w lotnictwie i w żegludze. Lotnik dzięki radarowi widzi w najczarniejszych ciemnościach i podczas najgęstszej mgły teren pod sobą jak najwyraźniej i bezpośrednio odczytuje, jak wysoko maszyna jego znajduje się nad ziemią. Prasa donosiła niedawno, że Szczecin otrzyma instalację radarową dla wprowadzania statków do portu. Dalej: wykrywanie i ratowanie rozbitków na morzu, sondowanie głębokości morza i profilu dna morskiego i odwrotnie w meteorologii badania atmosfery i wyższych jej warstw — to tylko szkicowo kilka przykładów wykazujących, że radar „cudowne dziecko" ma nie tylko wielką sławną przeszłość za sobą, ale jeszcze większą przyszłość przed sobą. Dla dobra ludzkości.

Taki cudowny wynalazek — a wynalazca jego? Kto wynalazł radar? Niestety nie ma wynalazcy radaru, naprawdę nie ma Radar to nie jeden aparat, to cały zespół przeróżnych i zawiłych przyrządów, każdy przeznaczony i przystosowany do innego zadania. Jeden mózg nie mógł rozwiązać zagadnienia — dziesiątki i setki najtęższych głów pracowały tu jednostkowo i zbiorowo.

A może jednak „ktoś" pierwszy wynalazł radar? Może to był — nietoperz? Obserwujcie, jak to stworzonko lata, ale nie — ptak pdoczas swoich lotów w ciemnościach wieczoru lub nocy zręcznie omija każdą przeszkodę — jakby ją widziało. Ale tak nie jest, bo nawet utrata wzroku nic mu w tym nie szkodzi. Gdy jednak zaklejono nietoperzowi uszy, od razu stracił orientację, uderzał bezradnie o lada przeszkodę. Bo nietoperz nie kieruje się wzrokiem, lecz słuchem i wyczuciem. Podczas lotu nietoperz stale emituje fale, które odbijają się od poszczególnych przedmiotów i jako „echo" wracają do jego błon międzypalcowych (antena) i do uszu; te narządy są u niego tak doskonale wysubtelnione, że z otrzymanego „echa" wyczuwa kierunek i odległość przeszkody i ją omija. Tak radzi sobie mały nietoperz od tysięcy lat bez wielkich aparatów.

Kto jest sprytniejszy: człowiek czy — nietoperz?

— Bilet powrotny proszę...
— Dokąd??
— Jakto dokąd! z powrotem!!!

Wywiad z dyrektorem

— Szanowny pan dyrektor zajęty?

Naturalnie był zajęty. Właśnie przeglądał poranne dzienniki i popijał czarną kawę.

Czekałem cierpliwie pół godziny. Przez pół godziny, jak obliczyłem, można przeczytać 47 dzienników, 18 tygodników i wszystkie pozostałe periodyki z czasopismem dla szoferów włącznie. Spróbowałem więc jeszcze raz. Zapukałem. Dyrektor coś burknął, co miało oznaczać prawdopodobnie „proszę". Wszedłem. Dyrektor przerzucał jeszcze dzienniki i popijał czarną kawę. Spojrzał na mnie wzrokiem tak ponurym, jak ponure bywają czasami wyrzuty sumienia, po czym ryknął:

— Należy uprzednio meldować się w sekretariacie.

Nie omieszkałem szybko wyjaśnić, że uprzednio zameldowałem się oraz że już czekam dosyć długo, tudzież, że jestem z prasy w celu przeprowadzenia wywiadu z wiel. szan. dyrektorem fabryki sztucznych korków o osiągnięciach produkcyjnych, planach, jak również nadziejach na przyszłość.

To widocznie poskutkowało, bo dyrektor odłożył gazetę, odstawił na bok filiżankę z resztą kawy, po czym uśmiechnął się uprzejmie i rzekł:

— Proszę bardzo! — dodał zaraz z lekką nutką wyrzutu w głosie: — Trzeba było od razu powiedzieć i nie czekać. Ale my, dyrektorzy, jesteśmy stale tak zapracowani, że pan rozumie...?

Kiwnąłem głową na znak, że rozumiem, potem spytałem się, czy mogę zadać pierwsze pytanie. Pan dyrektor odpowiedział mi, że mogę, więc zadałem:

— Jak kształtuje się produkcja sztucznych korków na tle ogólnej gospodarki oraz jakimi osiągnięciami może poszczycić się tutejszy warsztat pracy?

Dyrektor zaczął zaraz mówić. Mówił wyczerpująco, obszernie, ze skromnym pominięciem własnej osoby, a ja notowałem:

— Trzeba panu wiedzieć, że, powołany na to stanowisko w uznaniu zasług położonych na polu organizacji wewnętrznego rynku wytwórczo-przetwórczego, zastałem tu jeden bałagan. Ale wziąłem się od razu energicznie i sprężyście do pracy. Fabryka moja produkowała znikomą ilość sztucznych korków w stosunku do swoich możliwości, a to głównie dlatego, iż praca nie była zorganizowana i personel biurowy był stanowczo za szczupły i nie mógł nadążyć z wykonywaniem najpotrzebniejszych czynności (!). Powiększałem więc trzykrotnie tenże personel, który dziś, mogę się poszczycić, liczy 27 osób. Dla udokumentowania ogromu osiągnięć na tym odcinku pozwolę sobie zacytować kilka cyfr: podczas gdy za mojego poprzednika zużywano przeciętnie tylko 37 arkuszy papieru i 25 kopert, dziś przeciętne zapotrzebowanie wynosi już 7985 arkuszy papieru, 6768 kopert, 10 paczek spinaczy, 123 ołówki, 15 butelek atramentu do wiecznych piór, 20 sztuk gumek „Myszka", 10 taśm do maszyn, 150 kalek maszynowych, 120 kalek ołówkowych. Podczas gdy przed kilkoma miesiącami w biurze nie było wcale maszynistki, bo nie było maszyny (pytam, jak w takich warunkach można było pracować?), dziś pracuje 5 maszynistek i dwie stenotypistki.

— A na odcinku robotniczym? — Byłem zachwycony.

— Przede wszystkim z początku, ponieważ nie były przewidziane etaty urzędnicze, w celu powiększenia biura zwolniłem 23 robotników, którzy zresztą jak wykazują dane statystyczne nie byli wcale potrzebni. W trosce o pracowników fizycznych zaangażowałem specjalnego referenta porannej gimnastyki. Tak więc cały aparat pracowników jest dobrany idealnie, co było jednak możliwe do osiągnięcia przy moich umiejętnościach organizacyjnych, zdobytych dzięki kilkuletnim doświadczeniom. Dziś już mamy 12 regałów biurowych, 27 biurek, 3242 teczki z aktami, które porządkowane są systematycznie przez specjalną siłę pomocniczą, która zaangażowana została na etacie praktykanta z pensją tylko 12 tysięcy zł miesięcznie. Oszczędność, panie, oszczędność!

— A produkcja?

— Produkcja wobec prac reorganizacyjnych siłą rzeczy czasowo uległa zmniejszeniu. Atoli, jak wyraźnie o tym mówią nasze plany i wykresy opracowane w naszych biurach, produkcja w ciągu czterech miesięcy nie tylko dosięgnie dotychczasową, ale przewyższy ją o 37,8 proc. W ciągu siedmiu miesięcy produkować będziemy taką liczbę sztucznych korków, że pokryje ona całkowite zapotrzebowanie naszego rynku.

Dyrektor był zadowolony. Ja też. Podziękowałem zatem uprzejmie za cenne informacje, dyrektor zrobił skromną minę i sięgnął jedną ręką po gazetę, drugą po filiżankę z kawą.

TAD. M.

P. S. W chwili, gdy powyższy wywiad został złożony do druku, otrzymałem wiadomość, iż dyrektor fabryki sztucznych korków został zwolniony rzekomo z powodu braku umiejętności organizacyjnych. Też sprawiedliwość!!!

— A teraz synusiu daj cioci buzi...
— Przecież ja nic nie zbroiłem mamusiu!!

URYWKI
z nienapisanego

Wg Jakowlewa

— Witamina „A", witamina „B", witamina „C"... Dziecko na witaminach uczy się abecadła.

*

Homeopaci — to mały format medyków.

*

Wszyscy ludzie patrzą, ale widzą tylko niektórzy.

*

Patrzył na jej młodzieńczą fotografię i nie bez żalu myślał, jak szybko ta laleczka przemieniła się w babinkę.

*

Niemiłe telegramy przychodzą zawsze bez opóźnienia.

*

Lew tak przywykł do zgiełku ogrodu zoologicznego, że uważał za stracone lata, spędzone na pustyni.

Tłum.: MIK

Odpowiedzi Dziadu Literackiego

Ka-Zet. Żnin. Nadesłany wiersz z czasów okupacji „Serca Lotników" pełen jest wzniosłych patriotycznych intencji. Szczery sentyment do polskich skrzydeł przebija z każdego zdania. Autor jednak zamknął piękną treść w zbyt banalnej, literacko mało ciekawej formie. Takie rymowanie, jak: srebrzyste—ogniste szybują — pracują, laurami — Polakami, trąci mocno częstochowszczyzną. Nie skorzystamy.

Bem. Wiersz podobałby się w okresie „Młodej Polski". Pełno w nim tajemniczości, trudno zrozumiałych alegorii i mistycznej zadumy. Autor pisze w liście do redakcji: „W załączeniu przesyłam mój ostatni wiersz". Z tego gatunku niech to będzie naprawdę ostatni. Ale może Pan przyśle nam co innego?

— Gdzie ja miałam głowę kiedy wychodziłam za ciebie zamąż!!!
— Na mojej piersi kochanie.

Modna tragedia

Kupił jej śliczną beige pelisę,
Jedwab francuski w kwiaty,
Szyję ozdobił srebrnym lisem,
I — poszedł biedak za kraty.

JERZY KOSSAK

JAK ŚPIEWAJĄ...

WITOLD DEGLER

Żona poety

Stała się żoną poety —
wprost tragedia, drodzy moi:
miast porządnej tualety,
mąż ją tylko w wiersze stroi!

Siła przyzwyczajenia

W handlu operował kantem —
dziś zrobiono zeń śpiewaka,
lecz już w nim natura taka,
że śpiewa tylko dysz-kantem.

Życzenie

Z całego serca, bez żadnej przygany
życzę pisarzom, by zaszła ta zmiana:
w wielkim nakładzie książka
[wyczerpana —
autor w pomysłach zaś niewyczerpany!

JERZY KOSSAK

Nagrobek aktorki

Imię jej świeci ryte w marmurze
Tak jak świeciła w dniach ziemskiej
[chwały —
Niżej zielony meszek zacienia
Maleńkie cyfry daty urodzenia.

Flirt

Flirt — zabawa salonowa,
Miła, przyjemna i zdrowa —
Coś jakby trochę miłości
W granicach przyzwoitości.

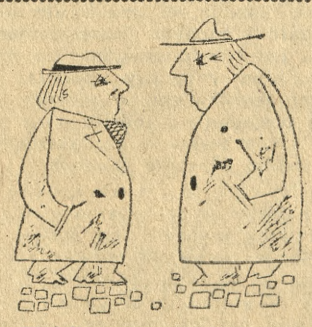

— Wróciłem z wczasów i straciłem 50 kg.
— Niemożliwe.
— Tak, ukradli mi walizkę.

Anonim

Dostała anonim
O sobie i o nim,
Że jeśli nie zerwie
Z ułanem rezerwy,
To ją całe miasto
Nazwie złą niewiastą!
Teraz pełna werwy
Poprzysięgła: zerwie!
Lecz tak jak przystało
Na niewiastę stałą
Tak jak nakazuje
Serce rozkochane
Owszem, zerwie — z miastem,
Ale nie z ułanem!

RPI

— Po ile są jajka?
Po 12 zł, natłuczone po 8 zł...
— Dobrze, niech mi pani natłucze 1 mendel...

— Jak się czuje twój dziadek?
— Świetnie się konserwuje.

„Mam Panu coś do zarzucenia" —
— mówił kat do skazańca.

— Czy Pan nie odczuwa potrzeby mycia się.
— Owszem panie doktorze ale umiem się opanować.

Czasem i zwierzę zdobycz ci odbierze

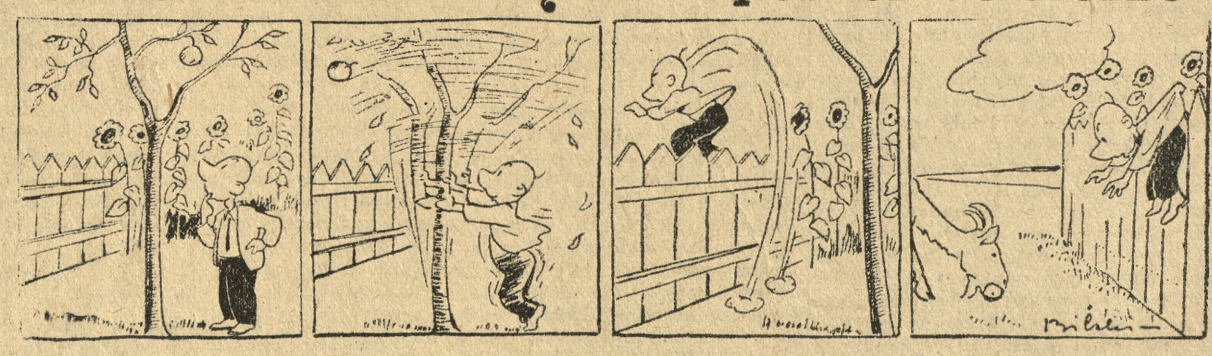

Jabłko jedno jest na drzewie!
Nikt prócz Śliwki o tym nie wie.

By je zdobyć — Śliwka miły
Trzęsie drzewem z całej siły.

Teraz biedak jest zmuszony
Szukać jabłko z „tamtej" strony.

Przykrość go spotkała nagła
Koza smaczny owoc zjadła !